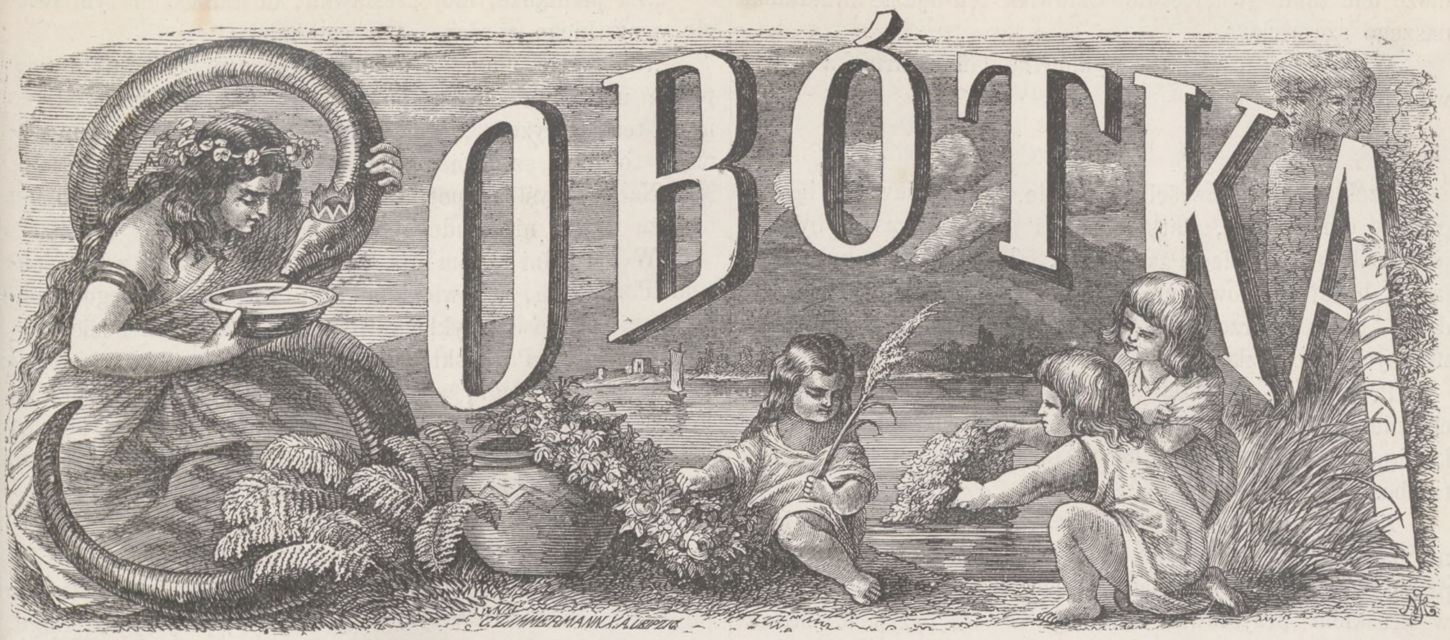
Nr. 31. Poznań, dnia 29. Lipca 1871. Rok III.



TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1½ ark. Kwartalnie 15 sgr.; w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

PIĘKNE ZA NADOBNE

(HUMORESKA)

napisał

Władysław Sabowski.

(Ciąg dalszy.)

Pani Firmska bez najmniejszéj urazy odrzekła: „A więc odpowiem panu poważnie. Lata moje przeszły i nikt o mnie ani pomyślał. Nie miałabym o to żalu do ludzi, bo cóż oni winni, żem nie była dość piękną, ale mnie gniewa, że teraz, gdym sobie pracą zdobyła dostatni kawałek chleba, gromada gołych fircyków kręci się koło mnie i sądzi, że mnie zdurzyć potrafi nędznie odgrywaną komedyą. Z początku te nadskakiwania, te słodkie oczy i westchnienia bawiły mnie, teraz mnie oburzają i nudzą. Dla tego gotowabym przyjąć za męża nawet taką poczwarę jak pan, aby mieć się czém opędzać od tych natrętnych owadów... ale...“

Niezbyt miła nazwa — poczwary — nie tyle ubodła Czesława Dusia, co to nieszczęśliwe — ale.

„Ale co?“ zapytał z niepokojem.

„Ale znam pana zanadto dobrze, panie Czesławie. Nie chcę od pana serca męża, bo ci téż serca żony dać nie mogę, chciałabym tylko serca przyjaciela, chciałabym być pewną, że mi swem samolubstwem nie zatrujesz życia, a takiego serca pan nie masz... Pan nie masz żadnego serca...“

„A! pani... to za ciężkie i niesprawiedliwe oskarżenie. Powiedz mi pani, czym kiedy komu zrobił co złego?...“

„To jeszcze nie zasługa, panie Czesławie. Powiedz mi pan czy kiedy komu co dobrego zrobiłeś, a będę twoją. Cóż?... milczysz pan?...“

„Nie umiem się chwalić.“

„Na ten raz odstąp pan od zwyczaju, bo inaczéj nic z projektu na którym jak mi się zdaje dosyć panu zależy.“

Czesław pomyślał chwilę. Wiele czynów swoich uważał za arcydobre, ale żaden nie był tak świetnym, żeby mógł się z nim w téj chwili popisać i liczyć na pewno, że zwycięzko odeprze oskarżenia panny Pelagii.

„Wierz mi, pani“, rzekł, „że to jest przeciwném mojéj naturze, i nie zdołam tego uczynić. Mało mi pani przyznajesz przymiotów, ale ten jeden przyznasz niezawodnie, że samochwałem nie jestem.“

„A więc... postaraj się pan, żeby ktoś trzeci, jakiś człowiek obcy, znany mi albo nieznany powiedział w mojéj obecności, że od pana doznał jakiéj przyjacielskiéj, bezinteresownéj przysługi, a natychmiast zamienimy obrączki. Wszakże to będzie łatwiejszém?... nie prawdaż?...“

„W istocie... to jest... ale... czy to pani ostatnie słowo?“

„Ostatnie... jeżeliś pan miał w życiu jednego przyjaciela, jestem pewna, że i ja będę umiała przyjaźń pana pozyskać, — jeżeli nie, wiem dobrze, że pierwszą i jedyną być nie zdołam. Czekam więc pana z kim chcesz, kto ci

może dać takie świadectwa. Człowiek ten będzie świadkiem naszego szczęścia.‘‘

Wyraz — szczęścia — wymówiła panna Firmska z dziwną ironią.

V.

Czesław Duś powrócił do siebie, dowiedziawszy się nagle, że oprócz ojca, matki, braci i panny Firmskiéj był mu jeszcze ktoś na świecie potrzebny. Tym ktosiem był przyjaciel, bodaj chwilowy, ale przyjaciel, to jest istota tego rodzaju, którą w przeddzień jeszcze zaliczał do najniepotrzebniejszych wynalazków głupstwa ludzkiego.

Przyjaciela potrzebował koniecznie, za przyjaciela dałby chętnie królestwo, zwłaszcza téż takie jak strzeleckie w Krakowie, którego listę cywilną z własnéj kieszeni opłacać potrzeba.

Zajrzał do swoich wspomnień i nic podobnego w nich nie znalazł. Z nikim nie żył, zkąd mu się mógł wziąć przyjaciel? Modlił się dawniéj szczerze i gorąco modlitwą w włoskiem przysłowiu zawartą: — Od przyjaciół strzeż mnie Boże, od nieprzyjaciół sam się ustrzegę, — i zdawało mu się, że nie ma nic mędrszego nad tę modlitwę. Teraz równie szczerze i gorąco powtarzał:

„Boże! znajdź mi przyjaciela!“

Akcye przyjaźni, za które wczoraj jeszcze byłby nie dał ani grosza, podskoczyły nagle na jego giełdzie tak wysoko, że jedna wartą była kamienicy i trzy tysiące talarów renty.

Chciał w siebie wmówić, że panna Pelagia żądała niepodobieństwa, że przyjaźń nie istnieje na świecie. Ale sumienie mu mówiło, że okłamuje sam siebie. Nie okazywał przyjaźni nikomu, lecz jéj kiedyś w życiu doświadczył, więc przyjaźń nie była mytem. Raz będąc chorym przywołał do siebie jakiegoś biednego starego człowieka, ażeby go pielęgnował. Starzec ten doznał kiedyś dobrodziejstwa od Jana w Oleju Dusia i dowiedziawszy się, że to syn jego dobroczyńcy złożony jest chorobą, pilnował go jak własne dziecko z nieograniczonem poświęceniem dniem i nocą, dopóki zdrowie nie wróciło. Czesław nawet mu się wywdzięczył. Przyszedłszy do sił zapłacił mu według umowy i nad umowę obdarował... starą kamizelką! Przyjaźń i wdzięczność istniały zatém, panna Pelagia miała prawo wymagać jéj dowodu. Owa stara kamizelka mogłaby nawet posłużyć za taki dowód, gdyby zostawała w jakiejkolwiek proporcyi z usługą, któréj była nagrodą.

„Gdybym był wówczas“, rzekł do siebie Czesław, „zamiast kamizelki, dał temu człowiekowi jaką zapomogę... ot naprzykład sto talarów... nie... no, to chociaż pięćdziesiąt, przy pomocy których mógłby się z biedy wygrzebać, miałbym dziś w nim przyjaciela... miałbym magazyn, kamienicę, Pelagię!...“

Był to żal po czasie, niestety!... Czesław Duś był praktycznym człowiekiem, na tego rodzaju żale nie marnował drogich chwil życia.

Przypomniał sobie jeden z ulubionych aforyzmów nieboszczki matki.

„Za pieniądze, mój Czesławku, dostaniesz na tym świecie wszystkiego oprócz... ptasiego mleka.“

„Pieniądze mam, a świadek dobrego uczynku, to nie ptasie mleko przecież“, powiedział, gdy mu przyszedł na myśl ten aforyzm, „jeżeli nie mam rzeczywistego przyjaciela, to sobie sztucznego kupię.“

Na tę myśl rozpogodziła mu się twarz. Zdawało mu się, że w tém nic trudnego nie będzie.

W parę dni potém był już u panny Pelagii z Kalasantym Parnaskim, człowiekiem tak ultramontańskiego usposobienia, że nosił zwykle kardynalską barwę na nosie.

Kalasanty Parnaski założywszy palec na palec, zeznał przed panną Pelagią pod przysięgą, że od pięciu już lat mając żonę sparaliżowaną, jednego syna niemowę i jedną córeczkę ociemniałą, byłby poszedł z torbami, gdyby go nie był wspierał bezinteresownie, jakiś nieznajomy i niepytany dobrodziej.

„Co kwartał, przysięgam Bogu“, mówił, „odbierałem list bezimienny, a w tym liście, przysięgam Bogu, było zawsze piętnaście talarów. W tym roku dopiero, przysięgam Bogu, dowiedziałem się, przysięgam Bogu przypadkiem, że tym nieznajomym dobrodziejem, tym mężem cichéj cnoty, tym dobroczyńcą ludzkości, był pan Czesław Duś, przysięgam Bogu, pan Czesław Duś.“

To powiedziawszy Kalasanty Parnaski podniósł chustkę kraciastą do oczu, aby obetrzeć łzy, których nie było, potém rzucił się do kolan wyrywającego się Czesława, i całując je wykrzykiwał:

„Mój dobroczyńca! mój dobrodziéj!... przysięgam Bogu!“

Panna Pelagia patrzała na tę scenę i nie rozpłakała się z rozczulenia. Prawdę jak widać powiedziała o sobie, że jéj serce wyschło już zupełnie.

Gdy Kalasanty powstał od kolan swego dobrodzieja i dobroczyńcy, panna Pelagia spokojnie i poważnie wydobyła z szufladki stutalarówkę i oddając ją Czesławowi rzekła:

„Wygrałeś pan, panie Czesławie... proszę.“

Na Czesławie i Kalasantym zrobiło to dziwne wrażenie.

„Co to jest?“ zapytał potomek Jana w Oleju, ostatni z rodu Dusiów, instynktowym ruchem wyciągając dłoń po pieniądze.

„Co to jest?“ zawołał Kalasanty, spoglądając po kolei to na pannę Pelagię, to na swego przyjaciela i dobroczyńcę.

„Rzecz prosta“, odpowiedziała właścicielka kamienicy po Kahlbergerze, „pan Czesław założył się ze mną, że za piętnaście talarów znajdzie w mieście człowieka zdolnego do odegrania takiéj komedyi...“

Czesławowi włosy powstały na głowie. Nie był zdolnym słowa wymówić.

„Kalasanty spojrzał na Czesława i splunął.

„Tfu!... a to mnie okpił, przysięgam Bogu“, rzekł z oburzeniem, kiedy miał dać piętnaście, powinien był dać tyle, a nie pięć i parę kufelków piwa...“

Czesław rzucił mu się do ust, aby je zatkać, ale już było za późno.

„Nieszczęśliwy! zgubiłeś mnie“, syknął.

Panna Pelagia uśmiechała się tylko.

Po téj scenie Czesław Duś stracił na cały tydzień na-

dzieję podbicia w jakikolwiek sposób serca, kamienicy i magazynu panny Pelagii, i przez ten przeciąg czasu nie pokazał jéj się na oczy. Mało jadł, spał mniéj jeszcze, całemi dniami nie wychodził z domu i spędzał długie godziny, siedząc osowiały w fotelu.

Niekiedy miotał sam na siebie obelgi i gorzkiemi obdarzał się wyrzutami.

„Dobrze mi tak, kiedym dureń“, mówił targając się za włosy, „za sto talarów byłbym znalazł dobrego komedyanta i wszystko gładko by poszło... Zamiast poszukać jakiego gołego dandysa, wziąłem jakiegoś pijaczynę, że tańszy... Dobrze mi tak, kiedym kiep, sknera, skąpiec, niedołęga... fe! doprawdy brzydzę się sobą.“

Po tygodniu zaczął rozmyślać czyby się nie udało wynaleźć jakiegoś pokaźniejszego surrogatu przyjaciela na zamydlenie oczu pannie Pelagii, ale téj myśli musiał dać za wygraną.

Po takiéj kompromitacyi nikomu nie uwierzy“, powiedział sobie po długich namysłach, „a że to kobieta na cztery nogi kuta, więc każdy podstęp odkryje. Na nic się z nią nie przydało.

Takim sposobem byłby się już Czesław Duś z zakrwawioném sercem wyrzekł nadziei zostania kiedykolwiek mężem Pelasi i właścicielem kamienicy po Kahlbergerze, ale przypadek chciał inaczéj.

Po dosyć długiéj, bo aż sześcioletniéj niebytności, przyjechał do Poznania syn pani Agnieszki po Opałowiczu-krzykale, Józef. Nie widzieli się z Czesławem od śmierci matki, a w owéj epoce rozstali się dosyć przykro. Opałowicz zrzekłszy się całego spadku na rzecz brata, pragnął mieć jednak jakąś pamiątkę po matce. Zażądał ślicznego jéj medalionu, malowanego na słoniowéj kości. Czesław się skrzywił.

„Wiedziałeś co wybrać“, rzekł kwaśno, „przyznaj, że do takiéj pamiątki i ja także jak ty mam prawo. To rzecz co kosztowała prawie pięćdziesiąt talarów.“

„A więc... płacę ci te piędziesiąt talarów“, odpowiedział na to brat przyrodni.

Czesławek wyciągnął rękę z nałogu, ale ją cofnął. Zawstydził się cokolwiek brata.

„Kiedy... widzisz... bo... ja nie mogę handlować pamiątkami po matce... jabym tego za dwa razy tyle nie oddał...“

„Więc cóżbyś mi dał?“ zapytał Opałowicz.

Czesław obejrzał się do koła, szukając wzrokiem odpowiedniego przedmiotu, ale wszystkiego na co spojrzał było mu jakoś żal.

„Dałbym ci, widzisz“, rzekł po chwili, „tę małą tualetkę hebanową, ale... tak się przyzwyczaiłem na nią patrzeć... dałbym tę herbatniczkę... ale, słowo ci daję, nie mam w domu innéj, w czemże będę chował herbatę?... O! patrz, ten srebrny zegarek, ten bym ci dał niezawodnie... tak mało wart... ale to ojciec kupił w dzień mojego urodzenia, tyle godzin idzie ile ja żyję... ot, téj szklanki rzniętéj pewno że ci nie żałuję... ale to u ciebie może się stłuc, a ja będę szanował, i będę sobie wspominał, że mama nieboszczka lubiła z niéj pijać mléko.

Przechodził tak po kolei rozmaite graty i graciki, i każdego z osobna żałował.

„Więc mi nie dasz żadnéj pamiątki po matce?“ przerwał nareszcie Opałowicz, który po ojcu krzykale odziedziczył cokolwiek sangwinicznego usposobienia.

„Ale czyż ja mówię że żadnéj... weź oto ten nożyk w kość oprawny, który nieboszczka mama sama przypadkiem złamała... i toby mi się przydać mogło, ale — niech tam!“

W Józefie krew się zagotowała.

„Ten nożyk, i to dla tego, że złamany!“ zawołał, „warto cię opisać i wydrukować, mój braciszku... na ładnego wychowałeś się gagatka!... winszuję ci, lecz nie zazdroszczę... nie chcę nic, nic, zupełnie nic... a nawet, patrz... te moje rękawiczki są trochę przybrukane, ale jeszcze całe... przydać ci się mogą... weź je... pyf!...“

To powiedziawszy zdjął rękawiczki, rzucił je na środek pokoju, potém wyszedł trzasnąwszy drzwiami, tegoż dnia wyjechał z miasta i przez sześć lat nie był w Poznaniu.

Teraz powrócił.

Czy pamiętał dawniejszą urazę, czy téż jéj już całkiem zapomniał?... trudno to było odgadnąć. Bądź co bądź był u panny Pelagii i nie zaniedbał odwiedzić brata.

Odwiedziny jego wziął Czesław Duś za dowód, że to co dawniéj zaszło poszło już w zupełną niepamięć, a widząc że Józef zaszedł i do panny Pelagii, że o niéj mówił dosyć, że cieszył się iż go nie zapomniała, powiedział sobie:

„Eh! eh!... będzie może jeszcze z téj mąki chléb... braciszek jest jak widzę w łaskach u Pelasi, on mnie jéj wyproteguje na męża. (C. d. n.)

NAJWAŻNIEJSZE MOMENTA Z DZIEJÓW ARCHITEKTURY.

I. Sztuka budowania praktyczna

(architektura indyjska, babylońska, perska i egipska).

Lubo architektura, czyli budownictwo ze wszystkich sztuk najdawniejszą i najściśléj złączoną jest z życiem ludzkiem, to jednak rzadko kiedy podobnym cieszy się współudziałem co malarstwo i rzeźbiarstwo, których była matką. W kołach nawet najwykształceńszych rzadko kiedy spotkać się można z należytem jéj zrozumieniem. Ponieważ architektura w najściślejszym z rozwojem ogólnym ludzkości stoi związku, dla tego wykazuje jasno w dziełach swoich duchowy kierunek ludów. Przypuszczamy więc, że pożądanym będzie czytelnikom Sobótki krótki pogląd na tę ze wszystkich sztuk najważniejszą i najpierwszą.

Sztuka budownicza, czyli sztuka przedstawienia piękna

w nieograniczonéj naturze, tworzy jakby laską czarodziejską, z martwéj, stężałéj, nieorganicznéj (kamieni) i obumarłéj organicznéj masy (drzewa) nowe, przez naturę nigdy jeszcze i nigdzie niewydane dzieła, podczas kiedy inne sztuki piękne, mianowicie naśladujące malarstwo i rzeźbiarstwo (których przedmiotem jest piękno życia organicznego) wzory swoje znajduje w naturze. Posąg, portret, krajobraz naśladują zawsze pierwowzór swój, podczas kiedy świątynia, pałac, wieża czemś zupełnie są nowem i na wskroś dziełem ludzkiem. Budownictwo zaczęło w tedy dopiero być sztuką prawdziwą, gdy w człowieku odezwało się uczucie harmonii i symetryi, porządku i prawidłości, i gdy budujący miał na oku nie tylko utylitarność powszedniego życia, lecz i odpowiednio do stopnia duchowego swego wykształcenia zapragnął wyrazić myśl w formie cielesnéj. I tak odpowiadają daleko więcéj istocie sztuki utworzone z kupy kamieni pierwsze pomniki i ołtarze, niż budowle północno amerykańskich ludów dzikich, niż podobne do pieców chaty Hottentotów, lub zwykła słomą kryta chatka naszego wieśniaka. Bo przy tych utworach codziennéj potrzeby, niema zgoła mowy o wyobrażeniach wyższych duchowych, podczas kiedy ma to już miejsce przy budowie najpierwszych i najprostszych pomników i ołtarzy.

Pierwszy, stanowczy objaw budownictwa jako sztuki przedstawia świątynia; w niéj znajduje wyraz religijne uczucie ludu, którego stósunek do boskiéj istoty uwydatnił się już w pewnych wyobrażeniach i stał się koniecznym dla porządku stósunków społecznych. Po świątyni idzie pałac władcy; zawdzięcza on początek swój świątyni dla tego, ponieważ w najdawniejszych czasach osoba króla uważaną była za najwyższego kapłana a nawet za widome ucieleśnienie Boga. W późniejszych dopiero czasach wpłynęła budowa świątyń na architekturę prywatną; prostym do powszedniego użytku stworzonym dziełom nadała piętno sztuki. Z postępem cywilizacyi zadanie budownictwa rozszerzyło się; jeżeli nie chciało pozostać ono na stopie rzemiosła, musiało zadość uczynić potrzebie i pięknu, i dla tego w każdém dziele architektury manifestować się muszą dwa owe żywioły: praktyczna konieczność i ideał. Połączenie tych dwóch przymiotów tworzy dopiero dzieło sztuki. Każdy prawie naród w starożytności utworzył odpowiednio do swego wykształcenia duchowego, własną architekturę, w któréj jednak duch objawia się zrazu bardzo jednostronnie i szorstko. Grecy dopiero wprowadzili do dzieł architektury harmonię i piękną jedność. — Dzieje budownictwa można podzielić na następujące epoki: I. architektura przedklasyczna z budownictwem indyjskiem, babylońsko-asyryjskiém, perskiem i egipskiem; II. architektura klasyczna, z greckiem (z stylem doryckim, jońskim i koryntskim), etruskiem i rzymskiem budownictwem; III. architektura przechodnia z budownictwém staro-kościelném, z bazylikami i budowlami byzantyńsko-centralnemi; IV. architektura mahometańska, łącząca się z architekturą moskiewską; V. architektura chrześciańsko-średniowieczna ze stylem romańskim i gotyckim; VI. architektura nowsza z stylem odrodzenia (renaissance) i budownictwem XIX wieku.

A. Budownictwo indyjskie.

Azya, kolebka rodu ludzkiego, posiada bezwątpienia najdawniejsze zabytki budownictwa (od 1000—2000 przed nar. Chr.). Są one w kształcie świątyń pieczarowych i budowli oddzielnych, czyli oddzielnie stojące religijne gmachy, jak n. p. podobne do pyramid świątynie Tope i Pagody. Starzy Indyjczycy czyli Hindu z ich językiem sanskrytskim, z niepewną, chwiejną czcią boga Brahma i boga Buddha, tworzyli ogromne budowle, folgując bezmiernéj, z bujnie krzewiących się płodów przyrody powstałéj fantazyi i dowolności bez granic w tworzeniu form bez piękna, harmonii i jasności. Przyczyną tego jest zapewne ta okoliczność, że żyli w kraju najbujniejszéj siły wegetacyjnéj, przewrotów najgwałtowniejszych i największych sprzeciwieństw w zjawiskach natury a przy niskiem wykształceniu stali się skłonnymi do wszystkiego co jest dziwném, niepewném, bezmierném i chaotyczném. Przez kilka tysięcy lat w sposobie tym budownictwa pozostali sobie Indyjczycy wiernymi, jak to stwierdza porównanie najstarszych świątyń pieczarowych i najnowszéj Pagody (w Jaggernaut; ukończona r. 1198 po nar. Chr.) lub olbrzymiéj sali do przyjmowania pielgrzymów (Czultri) w Madura, w roku 1623 po Chr. rozpoczętéj. Sala owa wspiera się na 124 w 4 szeregi ustawionych słupach, z których każdy aż do kapitelów z jednego składa się bloku granitowego; wszystkie słupy na wszystkich stronach przeładowane są ozdobami najdziwniejszego rodzaju, gzymsy złożone z tylu członków i w tak rozmaitéj zmianie form, że oko gubi się formalnie w téj gmatwaninie szalonéj poniekąd ornamentyki. Małe tylko postępy spostrzegać się dają w budownictwie indyjskiem przechodniem z bramaicznego do buddhaistycznego pieczarowego, jako też z świątyń pieczarowych do budowli osobnych.

Świątynie pieczarowe czyli obszerne jaskinie, wykute w jądrze granitowym gór a niekiedy ku górze otwarte, płaski mają sufit i szereg filarów czyli słupów. Obok świątyni głównéj spotykasz niezliczoną ilość wschodów, mostów i kanałów, łączących pojedyncze części dziedzińców, kurytarzy, galeryi, sal pielgrzymich i basenów do wody. Najobszerniejsze pieczary znajdują się w Ellera pod Bombayem i w południowym Dekanie niedaleko Madras; ostatnie nazywają się Mahamalaipur (miasto wielkiéj góry) i stały w związku z siedmioma osobno stojącemi pyramidami (pagodami). Poświęcone Świątynie pieczarowe bożkowi Brahma zasiane są niezliczonemi i fantastycznemi ozdobami, podczas kiedy buddhaistyczne prostsze świątynie pieczarowe, mało mają ozdób obrazowych i obejmują tylko posąg Buddelhy z założonemi na krzyż nogami w kolosalnéj wielkości. Oddzielne budowle indyjskie, prawdopodobnie pochodzenia buddhaistycznego a poświęcone czci zmarłych (znajdujące się mianowicie, na wyspie Ceylan) były dziwnemi, prawie pyramidalnemi, wysokiemi (do 150 stóp), z kamieni kwadratowych złożonemi i z wielu się piętr składającemi gmachami, grobowcami do wież podobnemi, coś nakształt pyramid, filarów, kopuł i wież. Lud nazywa je tope podług sanskrytskiego słowa „słupa“, oznaczającego mogiłę, wieżę. Mała czworoboczna celka na każdém piętrze przechowuje relikwie.

Budowle te pieczarowe stały zwykle w połączeniu z świątyniami, salami pielgrzymiemi, salami słupowemi, basenami i t. p. tworząc w ten sposób w związku z niemi Pagody (domy święte) czyli grupy gmachów, pełnych nużącéj rozmaitości i dziwnéj plastyki. Południowy kraniec Dekanu najwięcéj ma i najznaczniejsze podobnych budowli; ogromnemi są Pagody w Chillabrum, Ramisseram i Madura na wybrzeżu Coromandel.

B. Architektura babylońsko-asyryjska.

Mieszkańcy Mezopotamii (Międzyrzecza), która zamknięta rzekami Eufratem i Tygrysem i rocznemi nawiedzana wylewami, posiadała miasta Babilon i Niniwę jako najdawniejsze główne siedliska cywilizacyi — zwracali się odmiennie od fantastycznych, marzących Indyjczyków ku stronie praktycznéj ziemskich wyłącznie celów, ku dziełom użytku powszedniego; ztąd pochodzą ich budowy wodne, tamy, kanały, mury i pałace, i dla tego nie posiadają właściwych świątyń. Jak w Indyach tak i tu były usiłowania architektoniczne zwrócone ku kolosalności w zakładach i zbytkowi w ozdobach. Tam jednak czynną była bezforemna fantazya i dowolność, upajająca się w awanturniczych formach, tu kierunek jest rozumny, objawiający się w monotonnych powtarzaniach. Sztuka indyjska była dziwaczną, bezładną; Babylończykowie i Asyryjczycy nie posiadali zdaje się prawie wcale zmysłu architektonicznego. Dziwną jest rzeczą, że najważniejszego kryteryumu owego stylu budowlowego, t. j. sposobu pokrycia przestrzeni, nie podobna już poznać u żadnego z dzieł babylońskich. Prawdopodobnie były w użyciu dachy z drzewa, wsparte na słupach z drzewa.

Pomiędzy dziełami budowlowemi Babylonu odznaczała się kolosalnością swoją świątynia Belusa czyli Baala, Jowisza asyryjskiego, jako też dwa pałace królewskie, z których nowszy i wspanialszy zawdzięczał powstanie swoje wielkiemu Nabuchodonozorowi. Król ten, który panował około r. 600 przed Chr., z miłości ku swéj małżonce, otoczył miasto trojakim murem i pobudował wiszące ogrody, które uchodziły za cud świata. Z wszystkich tych, z cegieł budowanych dzieł nic nie przechowało się prócz olbrzymich kup gruzów i zwalisk (w Hillach nad brzegiem Eufratu). I budowle Niniwy, które istnieć musiały przynajmniéj na lat 606 przed Chr., znajdują się obecnie w bliskości miasta Masul nad brzegiem Tygrysu w podobnym stanie zniszczenia. Zdaje się, że tu stało kilka pałaców królewskich obok siebie, jak tego dowodzą wykopaliska pod Nnirud.



Bielany pod Warszawą.

C. Architektura perska.

Trzy owe szczepy ludowe, Baktrowie, Medowie i Persowie co zamieszkiwały kraj od rzeki Indus aż do Tygrysu, a nosiły wspólne nazwisko, Aryów, dziś zaś znane są pod nazwiskiem narodu Zendów, wszystkie przyczyniły się w równéj mierze do rozwoju cywilizacyi, która do punktu kulminacyjnego doszła w państwie perskiem. U nich to, wyznawców religii Zoroastra, polegającéj na czci ognia na ołtarzach złożonego, a objętéj w świętych księgach Zend-Avesty, znajduje się szczególną pod wielu względami architekturę, która nie jest poetyczno-fantastyczną lecz zupełnie jasną, swobodną i pogodną, wiecéj zwroconą ku budowie pałaców niż świątyń, odznaczając się kolosalnemi tarasami, udatną wysmukłością filarów i formę kapitelu jednorożnego czyli wolego. Nie miała ona wszakże jednolitego systemu, bo i pod względem politycznym nie mieli Persowie państwowéj jedności. Zresztą perska architektura uległa wpływom współczesnym, mianowicie jak się zdaje stylowi egipskiemu i grecko-jońskiemu. Belki i futrowanie ścian były z cedrowego i cyprysowego drzewa, pokrytego złotem i srebrem.

Z szczątków perskiego budownictwa, które przetrwały aż do naszych czasów zasługują szczególnie na wzmiankę grobowce królów perskich (w dolinie Merghab); nad wszystkiemi góruje grobowiec Cyrusa, z białego pięknego marmuru, podobny do małego domu z ukośnym dachem kamiennym i wznoszący się na podstawie tarasowéj z kolosalnych stopni się składającéj. I w zwaliskach pod Persepolis, niedaleko Merdasht, znajdują się jeszcze ślady wspaniałego pałacu królewskiego z ogromnemi tarasami, wschodami i wysmukłemi lśniąco-białemi kolumnami marmurowemi. Liczne na budowlach odkryte napisy klinowe odnoszą się do Daryusza i Xerxesa.

D. Architektura egipska.

Dzieje egipskie sięgają aż do najstarożytniejszych czasów, a już przed przeszło 400 przed Chr. wznoszono w starem państwie Memfis w Egipcie niższym budowle kolosalne, t. z. pyramidy. Najazd uskuteczniony przez barbarzyński naród koczowniczy, Hyksosów, których panowanie 500 lat trwało, dzieli dzieje Egiptu na historyą starego i nowego państwa; w ostatniem zrobił po wypędzeniu Hyksosów król Thutmes III, zabrane Teby punktem środkowym. Największy wpływ na wykształcenie egipcyan, którzy, jak wiadomo, w geometryi i astronomii znaczne już zrobili postępy, wywierały zagadkowe, z dziwną regularnością powtarzające się wylewy Nilu, przyczyn których i dziś jeszcze nie odkryto. Zmusiły one lud do obliczenia początku wylewu, do uregulowania rzeki, do zakładania kanałów i t. d. Te téż wylewy zapewne wykształciły u starych Egipcyan zmysł ścisłego porządku i regularności. Wszystkim bowiem ich instytucyom nadane jest piętno ustalonych ściśle form, a charakter ludu okazuje ostre, jednostronne wykształcenie rozumu. Religia ludu, oddanego czci zmarłych a stojącego daleko więcéj pod władzą kapłanów niż królów, była wprawdzie wielobóstwem, lecz w bóstwach głównych, Isisie i Osirisie, wyrażonemi były symbolicznie naturalne zjawiska wylewu Nilowego. Do tego dołączyła się zresztą cześć zwierząt dość surowego, zmysłowego kształtu, gdyż i bożkom nadawano głowy zwierzęce. Za górującą skłonnością do życia historycznego i za potrzebę czynności artystycznéj Egipcyan przemawiają starsze ich hieroglify, w którém to piśmie wyryte są na pomnikach sławne czyny i wypadki.

Najważniejszemi znamionami, stanowiącemi istotę architektury egipskiéj — zniewalającéj do podziwu kolosalnemi masami i doskonałością dzieł, w połączeniu z czarującym przepychem ozdób — są: trwałość i regularność całéj, z kamienia wyrobionéj, prostéj, poważnéj, monotonnéj lecz imponującéj konstrukcyi; płaskie dachy kamienne; krótkie, pieńkowe, w małych odstępach ustawione filary, które służyły za podporę dla ogromnych belek w dachach i podobne były do trzciny wstążkami obwitéj lub łodyg lotusowych; ukośne mury zewnętrzne, tworzące trwały, w sobie połączony system zastrzałowy są przeciwparciem przeciw ogromnym dachom kamiennym. — Niepodobna nie poznać, że egipskie budownictwo w porównaniu z indyjskiém, babylońskiém i perskiém wielkie zrobiło postępy, bo z jasnego urządzenia, rozmaitego przeprowadzenia budowli głównie czci religijnéj służących, przemawia działanie rozumnego, prostego umysłu, podczas kiedy u Indyjczyków myśl architektoniczna stłumioną bywała zbytkiem fantastycznéj dekoracyi a u Babylończyków i Persów skierowaną wyłącznie i jednostronnie ku zewnętrznym, praktycznym celom życia, ku bogactwu, rozpuście i zbytkowi. Jądrem egipskiego stylu budowlowego są płaskie, kamienne dachy, które tu poraz pierwszy napotykamy w obszerném, konsekwentném wykonaniu, oddziaływające na ciasne stanowisko mocnych filarów i na zależne od tego wrażenie estetyczne przestrzeni wewnętrznych, połączonych z systemem podpierających, obejmujących i opierających się członków. Lubo piękność jéj stylu jednostronną jest jak charakter szczególnego tego ludu, jednak czuć w architekturze ich dążność do dzieł wielkich, poważnych.

Z pomników starego państwa egipskiego, jakie przetrwały aż do czasów naszych, są najznakomitszemi Pyramidy pod Memfis, których liczba dochodzi do 40 najrozmaitszéj wielkości. Leżą one na przestrzeni ośmiu mil, w gruzach rozrzucone nad granicą żyznéj doliny Nilowéj i bezludnéj pustyni piasczystéj; największe, którym nadano nazwisko królów Cheops i Chefren, mają podstawę kwadratową przeszło 700, wysokość prawie 450 stóp; są one czworoboczne, zaostrzając się bardzo zwolna w tępy koniec; składają się z wielkich do 20 stóp długich kamieni i po części z cegieł, dokładnie zwrócone ku czterem stronom świata. Kilka tylko wązkich ganków, których wchód zakryty był płytami granitowemi, prowadzi do środkowego punktu pyramidy, gdzie się znajduje mała komora, mieszcząca w sobie sarkofag królewskiego budowniczego. W blizkości pyramid pod Gizeh z piasku pustynnego, wznosi się kolosalne dzieło rzeźbiarstwa, sławny sfinx, mający 89 stóp długości a zapewne przeszło 70 stóp wysokości. Wykuty on jest z podziwienia godną śmiałością i pewnością z jednego pagórka skalistego a między łapami przedniemi trzyma małą świątynię; u ściany jéj tylnéj stoi Thutmes IV. To naprowadza na

myśl, że pochodziło dzieło to z pierwszych czasów nowego państwa egipskiego i z najświetniejszéj epoki egipskiego rozwoju. — Najważniejszemi pomnikami nowego państwa są obszerne gmachy, które równocześnie zapewne (jak późniejsze klasztory) obejmowały w sobie świątynie i pomieszkania przeważnego duchowieństwa a były może i rezydencyą Faraonów. W nich wyryty jest najdokładniéj właściwy styl powyżéj opisany. Przy wchodzie głównym znajdują się często obeliski, wznoszące się stromo na wązkiéj prostokątnéj podstawie, u góry jak pyramidy zakończone filary pamiątkowe, wykute z jednego ogromnego bloku granitowego i okryte hieroglifami. Z pomników pod Tebami najznakomitszym jest położony na wschodnim brzegu Nilu, świątynia pod Karnak; niektórzy mają ją za sławną świątynię Ammona. Nieco nowsza jest położona na Południe od niéj świątynia luksorska, która z świątynią w Karnak była połączoną przez aleę ogromnych sfinksów. Na zachodnim brzegu Nilu, gdzie prawdopodobnie leżało miasto zmarłych, znajdują się ruiny kolosalnych gmachów, reszty ogromnych, w skale wykutych grobów królewskich, hypogeów. Ogromniejsze jeszcze zwaliska gmachów kamiennych, jako też szczątki 17 olbrzymich posągów leżą nie daleko Medinet-Abu i nadały miejscu temu nazwisko „pola kolosów.“ Posągi te były gigantycznemi, z piaskowca wykutemi obrazami królów; największym jest posąg Memnona, przeszło 70 stóp wysoki i około 3 miliony funtów ważący, który z wschodem słońca wydawał podobno głosy jęczące. I w niższéj Nubii znajdują się liczne ślady ogromnéj czynności budowniczéj Egipcyan, najkolosalniejszemi są groby pod Ipsambul z kolosalnemi posągami. Z późniejszych budowli egipskich zasługują na wzmiankę pyramidy pod Meroë w wyższéj Nubii; są one imitacyą pyramid niższego Egiptu, lecz daleko mniejsze i stromiéj wznoszące się niż tamte, a prócz tego dodany jest do nich przedsionek z oknem nad wyjściem. Z świątyn jest najwspanialszą świątynia w Denderah poniżéj Teb, któréj budowę rozpoczęli Kleopatra i Cezar a która w porównaniu z świątyniami staro-egipskiemi nie ma przedsionka wraz z pylonem (budowla podobna do podwójnéj wieży przy wnijściu); pylonu tego niema większa część budowli późniejszych.

BEATUS ILLE.

(ODA.)

Są duchy na to z niebios zesłane
By ziemskim sferom panować;
W hartowną męztwa stal przyodziane
Idą niebaczne na ból, zawody,
Pustynie ziemskie zmieniać w ogrody
I ludziom niebo zwiastować.

W tych duszach wzniosłych lata dziecięce
Już różne budzą pragnienia...
Dla jednych skarbem: gwary ptaszęce,
Baśń o królewnie, fletnia wierzbowa...
Będą to z czasem lutniści słowa,
Będą to dzieci natchnienia...

Inne na wzgórek biegną o świcie,
Wschód słońca witać i zorzę
I szukać Boga w nieba błękicie...
Gdy pędzel chwycą do dłoni śmiałéj,
Ujrzysz — jak w martwe płótna kawały
Przeleją myśli swe Boże...

Innym — zaduma chmurzy blask czoła...
Doziemskie ścigając cele
Kreślą na piasku kwadraty, koła,
Śledzą bieg planet wśród jasnéj nocy...
Będą to z czasem mędrcy-prorocy,
Odwiecznych prawd krzewiciele...

. . . .

Jednym z nich ludzkość wawrzyny splata,
Posągi stawia spiżowe...
Udziałem innych — zawody świata...
A gdy ich walka z losem nie znuży —
Znajdują w końcu życia podróży
Bolesne wieńce cierniowe...

. . . .

Al. K.

LISTY Z SYBERYI.

(Ciąg dalszy.)

Przebyliśmy step burjacki ku wschodowi od Irkutska, w którym burjaci tylko przez lato mieszkają. Na zimę opuszczają oni to siedlisko nudów, i razem ze swemi niezliczonemi stadami koni, bydła rogatego, owiec i kóz przeprowadzają się do zimowych mieszkań, na jakie 200 wiorst od stepu odległych.

Czytelnikowi jestem winien wdzięczność, że mi raczył towarzyszyć przez tę nudną, zieloną puszczę, która swą niesłychaną jednostajnością człowieka znuży.

Ależ to jest cechą, że tak powiem charakterystyczną okolic noszących na sobie wybitnie ślad, że pod wodą i skutkiem wody powstały; są one jednostajne, nudne, — pro-

zaiczne, kiedy tymczasem utwory wulkaniczne t. j. góry wabią do siebie, bawią nas urozmaiceniem widoków, natchną poezyą, która koniecznie jest potrzebną dla ducha naszego, bez któréjby życie nasze było bez pociechy, bez radości, bez krasy wszelkiéj, jak życie anachorety, który czy to z przesytu, czy to z zupełnego idjotyzmu sztuczną sobie pustynię tworzy, jeśli naturalnéj nie znajdzie. Jak orzeł na górach swobodnie żyje, tak człek na górze swobodą oddycha; dumnie despoty łaskawość odpycha, kto z orłem eteru gór się napije. Na górach i szczytach człek blizki słońca, duch rwie się jego, by wyżéj się dostać — w równinie całkiem inna rzeczy postać, tam to on orzeł, tu rodzaj zająca. Wolę ja utwory wulkaniczne, wolę góry dostarczające duchowi sił do polotu, niżeli owe równiny monotonne, w których człowiek nie mając walki z naturą dostarczającą mu wszystkiego łatwym sposobem, gnuśnieje, słabnie, upada i zawsze prawie stanie się niewolnikiem mocniejszego, sługą despoty i narzędziem despotyzmu. Despotyzm nie rodził się na górach ale w równinach i dolinach, i tu także rodziło się upadlające człowieka niewolnictwo.

Cyrusy, Attylowie, Dżengishany, rodzili się w równinach, deptali równiny, i krwią ludzką nawozili równiny, w których także znajdowali gotowych niewolników i stada wielbicieli, mianowicie jeśli z głów i kości ludzkich który z nich zbudował świątynię i przytułki dla kapłanów, zlepione krwią i łzami ofiar. Wdzięczni kapłani wtenczas jeszcze jego samego podnosili do godności bóstwa, stawiając mu złote posągi z ofiar wyciśniętych z upodlonych, zgłupionych i do posłuszeństwa doprowadzonych ludów.

Na górach rodzą się Tellowie, Winkelriedy, Rienza-Cola i Chrzanowskie!

Lecz opuśćmy to pole spostrzeżeń; kto się zajmuje badaniem psychologii narodów, przedmiot ten wyczerpująco traktować może. Mnie nie wolno dłużéj zatrzymywać czytelnika nad — burjackim stepem.

A jednak jeszcze z Kaczugi wyruszyć nie możemy; jeszcze jeden przedmiot, jeden człowiek jeszcze nas na chwilkę zatrzymuje.

Sto lat dobiega, jak naród gnębiony, do dzikich krain wysyła zastępy. Nie ma ziemicy, narodu, pustyni, gdziebyś nie znalazł braci swoich śladu!

W Kaczudze od dawna żyje wygnaniec Polak, który miał udział w powstaniu 30/1 roku, dostał się do niewoli i potém był zasłany do tomskiéj gubernii. Będąc farmaceutą i znając buchhalteryę, kupiec w Tomsku młodzieńca, z Warszawy rodem, — wziął do swego handlu i swoje interesa jemu powierzył. W owym to czasie i kilkanaście lat później jeszcze, w Syberyi „Polak“ był synonymem z człowiekiem honorowym, uczciwym, zacnym i rozumnym, i dla tego każdy polityczny wygnaniec wszędzie chętnie był widziany i lubiony.

Nasz młody farmaceuta — którego nazwiska nie mogłem się dowiedzieć, bo go Moskale w Kaczudze tylko nazywają Michajło Andrejewicz, a on nie rad się odsłonić — prędko znalazł wstęp do familii swego pryncypała, i tu przez swoje wzięcie, wykształcenie i honorowe postępowanie pozyskał serce jedynéj córki swego pryncypała. Ojciec jednak, mimo szacunku jaki miał dla swego subjekta, ubogiemu posieleńcowi nie chciał oddać ręki swéj córki, bo stan kupiecki w Syberyi, jak w całéj Rosyi jest dumny, a wiadomo, że kupiec pierwszéj gildy należy do przywilejowanych stanów, t. j. do dworzaństwa*), czynowników i duchowieństwa. Posieleniec zaś, czy to z politycznych zesłanych, czy téż z kryminalnych zbrodniarzy, jest pozbawiony praw — choć to w rzeczy saméj pod rosyjskim rządem nikt, prócz bogatego, prawa nie ma — a tylko tyle znaczy, ile na to zasługuje osobistą wartością.

Młodzi ludzie na te rozróżnienia prawne jednak nie zwrócili uwagi; dla młodéj dziewczyny mianowicie ten argument tém mniéj musiał znaczyć, że wiedziała zapewne, iż rodzice jéj ojca, lub przynajmniéj jéj pradziad nie przybył do Syberyi z własnéj ochoty, lecz jako posieleniec, a być nawet może, jako katorzny — z klejmą (piętnem) na czole, twarzy, plecach i rękach.

Kiedy więc ojciec stanowczo odmówił swego pozwolenia do małżeńskiego związku córki swéj z „posieleńcem Polakiem“, i tegoż nawet oddalił ze swego handlu, córka wymyśliła łatwy plan do połączenia się ze swoim kochankiem. U nas trzeba by się dać pannie — porwać, pojechać do Gretna-Green do kowala i tam przy kowadle brać prawny ślub. W Rosyi, a tém bardziéj w Syberyi rzeczy takie inaczéj się odrabiają. Kochanka nasamprzód dostarcza naszemu biedakowi potrzebnych funduszów do podróży z Tomska do wschodniéj Syberyi, a na takie przesiedlenie się politycznych zsylnych władze w Syberyi zawsze chętniéj pozwalają, niżeli odwrotnie na przesiedlenie ze wschodniéj do zachodniéj Syberyi. Kiedy nasz bohater już znikł z horyzontu tomskiego kupca, i osiedlił się gdzieś w tajdze, w jakimś złotym „pryisku“, nagle znikła córka z domu i z nią razem jakie trzydzieści tysięcy rubli. Wszelkie poszukiwania były płonne. Syberya zbyt rozległa, zbyt wiele jest w niéj kryjówek, styczność z ludźmi zbyt utrudniona, a komunikacya zbyt leniwa, żeby łatwo było znaleść zbiega, chcącego się ukrywać.

Lecz trzeba było i przypadkowi odkrycia zapobiegnąć, a to było łatwem za pomocą pieniędzy. Młoda dziewczyna poszła po prostu z pełną papierków ręką do naczelnika władzy miejscowéj, podała się jako „bradjaga“ t. j. wagabunka, niepamiętająca nazwiska (Niepomniszcza) i została zesłana na posielenie tam, gdzie sobie życzyła, do swego kochanka. Tu połączyła się z nim, wzięła ślub z kochankiem i w r. 1866 żyli szczęśliwie w Kaczudze nad Leną, gdzie używają reputacyi nader uczciwych i dobroczynnych ludzi.

Majątek rozmaitemi uczciwemi spekulacyami powiększył nasz rodak, żona jego, w owym czasie już nie młoda, lecz przystojna kobieta, doskonale nauczyła się po pol-

*) W Rosyi szlachty, w naszém znaczeniu nie ma. Na zachodzie: noble, edel, szlachetny stał się szlachcicem; w Rosyi tylko ten, kto dworowi, panującemu carowi służył. Ztąd też w dworzanach Rosyi nie ma téj szlachetnéj dumy, tych szlachetnych dążności, co w szlachcie zachodu, która służyć nie miała nigdy, a teraz dopiero się tego uczy.

sku i w całéj okolicy słynie dom ten jako zamożny dom „aptjekara Polaka.“

Mimo to, żeśmy przyjechali do Kaczugi w czasie nieszczęśliwym, zaraz po zabajkalskiéj sprawie, kiedy nawet nad polakami za udział w dawniejszych powstaniach i spiskach zesłanemi rozciągnięto nadzwyczajny dozór i utrudniono im widzenie się z nami, nasz rodak znalazł sposobność widzenia się z nami i wspierania nas w naszych potrzebach, które zresztą były łatwe do zaspokojenia, bo je stanowiły: chleb, herbata, cukier i tytoń. Zaiste nie wiele człowiek potrzebuje, jeśli tylko umie się zastósowywać do położenia, w którém się aktualnie znajduje, nie ścigając za mrzonkami, za niemożliwém, lub tylko za sferą swych właściwych środków leżącém.

Takich jak nasz rodak „Michajło Andrzejewicz“, pozostałych w Syberyi odłamów naszego narodu, bardzo wiele się tam znajduje. Pominę jednak ten przedmiot, gdyż mam zamiar publikować o tém osobną, choć nie obszerną pracę i puszczam się z czytelnikiem w dalszą podróż, która dla mnie była przymusową, a chciałbym — by czytelnik dobrowolnie za mną i zemną się pofatygował.

Od Kaczugi do nędznéj powiatowéj mieściny, Wiercholeńska droga wiedzie niedaleko rzeki przez rąbek tajgi, w któréj już nie ma osad rosyjskich, a która dotąd jest własnością Tunguza. Tajga ta ciągnie się od Leny do spokojnego Oceanu, od Amuru do lodowatego morza, a może być, iż jest nieco większa niżeli cała Europa dwa razy wzięta, z ludnością dziką, płacącą rosyjskiemu rządowi daninę (jassak) w futrach, do uzbierania których ma przestrzeni do woli.

Wnętrze téj tajgi to tajemnica Tunguza, niedźwiedzia, łosia, wilka, jelenia, orła i głuszca, które w niéj żyją i walkę toczą o byt, o życie. Jeśli to wnętrze odpowiada temu, co widziałem na samym brzeżku tego odwiecznego lasu, w takim razie — uciekając kiedyś od zgiełku świata, sprzykrzywszy sobie świat i ludzi, a stając się idjotą, poszedłbym do téj tajemniczéj Tajgi, by żyć między Tunguzami i dzikiemi współtowarzyszami.

Wznieś się orlę, wznieś wysoko, płyń nad chmurą nad obłoką, spojrzyj na dół bystrym wzrokiem, a jak sięgasz swojem okiem, widzisz morze burzą wzdęte, i znów wał i wał po wale. A to wszystko jest — bez ruchu, jakby mrozem skamieniałe, a o ludziach nie ma słuchu i człek tu jest — skamieniały.

Burza wściekła, burza we wnętrzu ziemi się odbywająca, miotająca fale olbrzymie roztopionych minerałów musiała podnosić te niebotyczne fale, dzieląc je od siebie olbrzymiemi bruzdami, na które gdy spojrzysz, sądzisz, że to — czeluście piekła, a wszystko musiało nagle ostygnąć, skamienieć i nadać całéj ogromnéj części świata za Leną, tę formę powierzchni, którą podróżny podziwia w krajach dzikiemi górami napełnionych, lecz zamieszkałych przez cywilizowane narody.

Droga przez te grzbiety i przepaście jest nader niewygodna; rząd do zbudowania innéj, wygodniejszéj nad samym brzegiem Leny używał w roku 1866 zesłanych do przymusowych robót braci naszych, kiedy już tak zwane zawody były przepełnione. Nie wiele się tam zrobiło, gdyż robota z przyczyny téj została przerwana, że w późniejszym czasie mniéj więcéj od Grudnia 1866 roku nie używano nas już do robót, ale liczono nas jako należących do zawodu. Zkąd ta niesłychana w dziejach katorgi łaska przyszła, nie wiadomo, ależ pod despotycznym rządem, gdzie nie prawo rządzi, ojciec karze, ojciec ułaskawi i za jedno i za drugie — dziecię w rączkę całować musi, nie wiedząc nawet, czy ta rączka warta tego pocałunku.

My jadąc przez grzbiet jednéj góry, głęboko pod nami słyszeliśmy po lewéj naszéj stronie, gwar naszych braci, dźwięk polskiéj mowy, krzyk naszéj figlarnéj, wesołéj, mazowieckiéj młodzieży, melodye naszych narodowych pieśni i widzieliśmy słupy dymu wznoszącego się z rozłożonych i zapalonych kostrów, przy których sobie obiad gotowali; lecz widzieć się z braćmi, uściskać ich dłonie, powiedzieć im i słyszeć od nich słówko otuchy, pociechy, dać i odebrać promyk, kroplę nadziei — to było niemożliwém. Straż nasza nie pozwoliła zatrzymać się, a przez przepaści głosy nasze nie dosięgały słuchu naszych rodaków, znajdujących się może z jakie ośmset lub tysiąc stóp pod nami.

Nie więcéj jak mila od tego miejsca, Tajga staje się nieprzebytą, góry i przepaście większe, wszystko, nawet drzewa i krzewy olbrzymieją, a tylko na haliźnie wśród Tajgi znajduje się karzeł, z którym serdecznie się witałem, jako ze zwiastunem lepszéj przyszłości tych okolic — znalazłem len w pełném kwieciu, w dzikim stanie, niczyją ręką nie zasiany, a który świadczy o tém, że okrzyczany syberyjski klimat jeszcze dozwala na uprawę najszlachetniejszych naszych roślin. Takie spostrzeżenie musi być przyjemném dla człowieka, który z góry jest przeświadczony o tém, że cała ziemia jest przeznaczona na pobyt dla szczęśliwych ludzi, a jeśli nie wszędzie się znajduje człowiek szczęśliwy, to zapewne temu winien człowiek despota, głaszczący popów — głaszczący tłumy — a ci pierwsi z wdzięczności dla niego uczą głupców, że ta władza człowieka nad człowiekiem jest od Boga: religia zamieniona w płaszczyk polityki, wszędzie służyła despotyzmowi i służyć mu zawsze będzie, tak w Rosyi, jako téż i u nas w Europie.

Nie daleko już ztąd spuszcza się droga, i odtąd aż do miasteczka Wiercholeńska idzie po nad rzeką Leną.

(C. d. n.)

Po bożym świecie i w podziemiach Wieliczki.

Wyjątek z Pamiętników

Wincentego Pola.

(Ciąg dalszy.)

Gdyby to się można było podzielić, tobym siebie w jednéj osobie był posłał na zamek do katedry krakowskiéj, a w drugiéj do Panny Maryi, a w trzeciéj do uniwersytetu, a w czwartéj do sukiennic, a w piątéj na mogiłę Kościuszki, a w szóstéj w końcu do Seweryna Goszczyńskiego, bo o to spotkanie chodziło mi właściwie w Krakowie.

Zaszliśmy do cukierni. Przy bocznym stoliku siedziało dwóch panów, twarz szczególniéj jednego z nich uderzyła mnie bardzo. Włosy krucze, czoło światłe, białe i zamyślone. Czarne bystre oczy, łagodne ruchy, cała postać szlachetna i nad wiek poważna.

„Czy nie wiesz kto to?“ zapytałem Kazimierza.

„To jest Antoni Helcel, o którym zapewne słyszałeś, bo to człowiek bardzo uczony a ten drugi to Leon Bochenek, bankier i człowiek bardzo tu wzięty w Krakowie, światły, ma piękną bibliotekę i zna się na polskich rzeczach.

„Czy można tu w nich zaczepić?“ spytałem.

„Powtarzam ci, że w Krakowie jesteś tu zupełnie bezpieczny i jeżeli możesz z jakiego tytułu do nich się przypytać to przy wódce najłatwiejsza znajomość.“

Bochenka znałem z listów, bo pieśni Janusza przesłałem za jego pośrednictwem do Paryża do druku, więc gdym tylko nazwisko swoje wymienił, stanęliśmy do razu dobrze z sobą jak dawni znajomi.

Bochenek przedstawił mnie Helclowi i zaprosił na gościnę do domu swojego, domyślając się, że w oberży mieszkać nie chcę i nie mogę. Stanąłem tedy u niego kwaterą i wieczór jeszcze dnia tego samego spędziłem u Helcla.

Był to dla mnie bardzo zajmujący i pamiętny wieczór, bo poznałem tam pana Pawła Popiela, zacnego Mączyńskiego, Budrajczyka, margrabiego Wielopolskiego, a pan Leon Bochenek wprowadził mnie na ten wieczór. Drobna to na pozór okoliczność, która wszakże w dalszym życiu mojém, miała ważne następstwa pod względem wziętego kierunku w literaturze. Owe spotkanie się przypadkowe w cukierni z Bochenkiem i Helclem i wszystko co się z tego spotkania wywiązało było przyczyną ważnych następstw dla mnie. Przyjąwszy gościnę w domu Bochenka i zbliżywszy się do Helcla, straciłem Kazimierza z oczu i nie mogłem przez kilka dni zetknąć się z Sewerynem. Było to jak mówię, czysto przypadkowym, ale w obozie demokratów, który był już w ówczas zorganizowanym tak we Lwowie jak w Krakowie obudziło to przekonanie, żem albo nigdy nie należał do ich obozu, albo żem go opuścił, przechodząc do obozu tak zwanych konserwatystów i heglistów arystokratów. Nie przebierano jeszcze w ówczas bardzo w pojęciach i kto nie był demokratą z rzemiosła, tego czy chciał czy niechciał, czy należał czy nie należał, przerzucono do obozu arystokratów.

Bochenek był arystokratą bo miał pieniądze, Wielopolski był arystokratą bo był margrabią, Helcel był arystokratą bo miał rozum i był Heglistą, Paweł Popiel był arystokratą bo był uczniem Lamene'go, Mączyński był arystokratą, bo żył w tradycyach starego Krakowa jako patrycyusz krakowski, ja byłem w końcu arystokratą bom się z przypadku zetknął z nimi wszystkimi na kilku wieczorach, pomimo to że w obozie arystokratycznym istotnie bardzo dobrze przyjęto pieśni Janusza, Dorosza i pieśń o szewcu Kilińskim.

Tydzień prawie upłynął nim odpytałem i odszukałem Seweryna, który po swojemu niknął i wypływał i zawsze ślad gubił za sobą. A kiedym się z nim zetknął, widziałem, że bardzo zobojętniał dla mnie.

Po upadku wojska i służby wojskowéj wydawała mi się godziwa i pożyteczna dla narodu jedynie praca około literatury. Często radziliśmy z Sewerynem o tém w jego i w moim kole a nawet w téj ostatniéj podróży do Krakowa, zrobił mi nadzieję że przy pomocy stosunków i ludzi jakich ma w Krakowie, będzie można wydawać jakieś zbiorowe pismo peryodyczne i niemałą było to zachętą dla mnie że się dostanę do Krakowa i za przewodem Seweryna będę mógł wziąść się do pracy a rozpocząć na nowo przerwane studya przez wojnę i podróże po wojnie. Czułem potrzebę wytknięcia sobie stałego celu w życiu i w pracy, czułem potrzebę wyjścia z tego obozowego życia, w którym czas upływał na niczém, a była także potrzeba i tego, aby zejść z drogi prześladowaniom politycznym i przypaść cicho w nieznanéj stronie.

Zajęcie tedy około pisma zbiorowego uśmiechało mi się bardzo, i kiedym się znowu z Sewerynem zetknął, chciałem bliżéj poznać rzeczy na miejscu i ludzi, którzy się około tego porali, lecz on unikał widocznie rozmowy, ucinał ją sucho, nie damawiał lub milczał, z podejrzliwością na wszystko odpowiadał mi „nie wiem“, „może“, słowem, po dwóch czy trzech widzeniach się stanęliśmy tak daleko od siebie, że on mnie nie szukał jak wprzódy, a ja nie starałem się zbliżyć do niego.

Bolało mnie to bardzo, bo choć w powszechności mało dbałem o opinię ludzką, będąc w sercu mém pewny o czystości zamiarów tak w odbytéj drodze życia jak i w drodze przyszłéj, którą zamierzałem iść daléj, nie mogłem być obojętnym na to jaką Seweryn miał opinię o mnie, bo ceniłem go wysoko i miałem go za to, czém był — za wybrańca w narodzie. Widziałem, że coś się robi w około mnie, ale nie miałem jeszcze wówczas pojęcia o zorganizowanych partyach politycznych, które się tym razem w dwóch obozach literatury organizowały.

Pojmowałem stanowisko żołnierza polskiego, pojmowałem stanowisko emigranta i zadanie jego wśród obcych narodów, pojmowałem nawet potrzebę dróg nowych w literaturze i wstąpiłem sam na nową drogę, bo gdziem się tylko obrócił spiewano już pieśni Janusza nie wiedząc nawet

o tém, kto był ich autorem i kiedym się raz i drugi przyznał do ich ojcostwa wzięto to za samolubstwo i kłamstwo a ja nie miałem sposobu wyświecić prawdy i musiałem szyderstwu nie raz schodzić z drogi.

Stanowisko Polaka patryoty nie zaciągniętego w służbę żadnego stronnictwa wystarczało dla mnie tak w życiu jak w literaturze i ciężko odpokutowałem to niezawisłe stanowisko, na którem się nie łatwo było utrzymać przy tarciu i parciu stronnictw, które nie przebierały w środkach.

Rzekł mi raz wprawdzie Seweryn w tym czasie: obóz polityczny musi mieć swój sztandar i hasło swoje i musi być szczelnie łańcuchem zamknięty.

Jakiż sztandar? jakież hasło? pytam, lecz na to niedał odpowiedzi. Tak samo mówił mi Antoni Helcel: stanowisko patryoty jest zacne, ale nie wystarcza; wy poeci co latacie orlemi drogami, patrzycie w orła białego jak w tęczę, ale ten orzeł nie może być godłem dla wszystkich — nie wszyscy chcą go mieć białym, są tacy co chcą go mieć czerwonym, bo powiadają, że krwi potrzeba, a inni jeszcze widzą, że jest brudnym i że białość swoją stracił, jeżeli nie na zawsze to przynajmniéj na długo. Tu potrzeba zasad i sprowadzenia wszystkiego do jednéj zasady. Lecz jakąby ta zasada była — nie mówił o niéj Antoni Helcel tak dobrze jak nie mówił o niéj Seweryn Goszczyński. Słowem mówiąc, organizowały się wówczas dwa obozy w samym Krakowie i dwa pisma. Karól Zienkowicz skupiał ludzi w jednym obozie, Antoni Helcel w drugim — skutkiem tych agitacyi były dwa pisma w końcu: „Pamiętnik powszechny nauk i umiejętności“ Karola Zienkowicza i „Kwartalnik“ Antoniego Helcla. Jeden skupił uczniów filozoficznéj szkoły Hegla, drugi demokratów tych zasad, jakie przyjęli zorganizowani przez hrabiego Adama Gurowskiego. Od tego czasu są już dwa obozy stale zorganizowane tak w życiu narodowem jak i w literaturze. Zmieniają wprawdzie sztandary i hasła, ale rozdarcie tak w narodowem życiu jak w literaturze nie ustaje i aż podziś dzień niema czém zapełnić przepaści która stronnictwo dzieli i niema czém pojednać zwaśnionych dzieci jednéj matki. Jak bolałem tak boleje nad tém, „quosum misessima pars ipssè fui.“

Dziwna rzecz, patrząc na to po upływie lat kilkudziesięciu, że pan hr. Adam Gurowski zorganizował u nas obóz demokratów, a Antoni Helcel syn Patrycyusza Krakowskiego obóz arystokratów historycznéj wiary polskiéj. Dziwna rzecz że tym torem sprawy poszły. W jednym wyprzedziliśmy całą Europę t. j. w zelozyi nieprzejednanych“, którzy już od początku téj ery utrudniają lub udaremniają posłannictwo narodowe.

Byłem świadkiem tych robót w ich poczęciu. Filozofia niemiecka nie była dla nas obcą, bo studya filozoficzne były już upowszechnione w kole młodzieży uniwersyteckiéj lwowskiéj, kiedy w całéj Polsce nieznano jeszcze filozofii niemieckiéj. Wykładano już na uniwersytecie lwowskim wszystkie systemata filozoficzne od Kanta aż po czasy Hegla. Tu tedy w Krakowie dopiero trzeba się było po identycznéj filozofii Szelinga zapoznać się z filozofią Hegla. Antoni Helcel jako uczeń szkoły berlińskiéj, wykładał mi w długich rozmowach, systemat filozofii Hegla i brałem od niego tom po tomie od logiki Heglowskiéj począwszy. Nie umiem określić męczarni i duchowego pasowania się w którem wówczas żyłem, przez przeciąg sześcio miesięcznego pobytu mojego w Krakowie. Po dniu studyowałem pamiątki Krakowa, po nocy filozofię Hegla. Nie widziałem dla siebie drogi wyjścia pomiędzy tym światem wielkiéj przeszłości, a utopią abstrakcyjnych rozumowań Hegla. Pytałem sam siebie, jeżeli ta przeszłość była rzeczywistością, a te abstrakcyjne rozumowania Hegla są prawdą, a co więcéj ostatnim słowem prawdy dla całéj ludzkości, pytałem sam siebie, gdzie się podziejem z naszą Polską i z tym prądem poetycznego geniuszu polskiego, który co raz nowe obierał źródła jak się w porze dżystego lata w górach naszych co dzień otwierają się źródla, nie tryszczące nigdy i nie znane?

Najwięcéj uspokojenia dawały mi wówczas rozmowy z panem Pawłem Popielem, który jako uczeń Lamenè'go z czasów kiedy Lamenê był filarem kościoła, stał twardo przy kościele i wierze ojców. Najwięcéj uspokajały mnie jeszcze rozmowy z panem Maciejem Mączyńskim, patrycyuszem krakowskim, który spokojnie i poważnie brał te wszystkie agitacye i ubezpieczał mnie jako stary Polak, że nie trzeba się tém trapić, ale robić swoje, bo się to zawsze tak w Polsce wycierają zdania i ludzie. Z umysłu kroją na wielkie rzeczy i na zagładę wszystkiego aby coś uzyskać, a w końcu układają się sprawy narodową tranzakcyą a nie było w dziejach wielkiéj sprawy i nie ma w narodzie któréjby nie załatwiono ostatecznie tranzakcyą. To się gdzieś pomiędzy demokracyą a filozofią Hegla znajdzie droga dla Polski.

Straszne miałem sny w owym czasie: śniły mi się zawsze wielkie monzolea marmurowe, ale pomiędzy niemi snuło się jakieś szubrańsłwo bluźniąc Bogu i ojczyźnie polskiéj. Często śniło mi się, żeśmy się bili na wielkim wyłomie twierdzy, twierdzę zdobywali Moskale, a po naszéj stronie na wyłomie nie było takiego, coby walczących prowadził i każdy musiał się dla siebie silić na słowo komendy. Ryczałem nie raz w nocy w swéj kwaterze u pana Leona Bochenka i sługi zbiegały się z widermachu i budziły mnie ze snu.

Książę Władysław Sanguszko, przybył na dni kilka w ówczas do Krakowa i odszukał mnie w pomieszkaniu mojem. Znając jego życzliwość dla siebie, opisałem mu moje pasowania duchowe, znając prawość i prostotę jego serca, ale on dobił mnie tym co powiedział, bo postawił naszą kwestyą narodową zupełnie inaczej.

„Nie kocham“, rzekł „tego Adama Gurowskiego, ale wolę pójść z Polską za demokratami do piekła, niż z Meternichem do tego nieba, które on nam obiecuje.“

Pasowałem się bardzo.

Wtém zdarzył traf szczęśliwy, żem poznał na wieczorze u Helcla młodego człowieka, który mnie bardzo uderzył i zajął. Czarne kędzierzawe włosy wiły się jak węże w około głowy, postać pełna energii, w zdaniach wielka oryginalność i ciepłe słowa, należał do rozmowy przeszło godzinę może, zanim nas Antoni Helcel zapoznał ze sobą. Czarne jego oczy paliły się węglem lubo okularami przy-

słonięte, Helcel prosił mnie abym jaki swój wiersz przeczytał lub powiedział. Nie pamiętam dziś już com dał na jego żądanie, ale wiersz zrobił dobre wrażenie na obecnych.

Był to Józef Kremer, także uczeń ze szkoły Hegla, świadek rewolucyi lipcowéj w Paryżu, doktor dwóch uniwersytetów, żwawy żołnierz polski z ostatniéj wojny i to żołnierz starszéj broni, bo artylerzysta, ranny w czasie ostatniéj kampanii i od całéj bateryi przedstawiony do żołnierskiego krzyża. Słowem, te wszystkie tytuły razem, ale więcéj jeszcze postać Józefa Kremera zajęła mnie bardzo żywo i kiedyśmy po herbacie z domu Helcela wyszli, była piękna miesięczna noc i ja odprowadzałem jego do domu, on odprowadzał mnie, i na wylaniu serdecznych uczuć chodziliśmy do drugiéj godziny w nocy po Rynku krakowskim.

Od téj chwili stanąłem z Kremerem dobrze, bom znalazł w uczniu Hegla ciepłe serce i energię polskiego żołnierza.

(C. d. n.)

BIELANY POD WARSZAWĄ.

(Z ryciną.)

O milę od Warszawy, w pośród małego lasu nad Wisłą leżą Bielany, miejsce za miejskich wycieczek Warszawian. Miejsce to należące przedtém do wsi Polkowa, zwano Polkową górą. Król Władysław IV w czasie wojny w roku 1634 ślubował, jeżeli pomyślny skutek uwieńczy jego usiłowanie, wystawić tu klasztor braciom świętego Romualda. Po powrocie więc z wyprawy, sprowadziwszy zakonników z Krakowa, darował im Polkową górę i wybudował pierwszy kościół i klasztor drewniany. Król ten bardzo lubił przebywać w tém miejscu, mając szczególne nabożeństwo do kościoła bielańskiego. Jan Kazimierz rozpoczął budowę kościoła murowanego, wystawiwszy sobie obok pałac na mieszkanie, wyrobił bullę papiezką na odpust z nabożeństwem w drugi dzień Zielonych świątek, który dotąd przez mieszkańców Warszawy z tłumnem zebraniem corocznie jest obchodzony. Michał Korybut lubił także Bielany, często tu mieszkał i on właściwie dał początek teraźniejszemu kościołowi murowanemu, który dokończył na początku XVIII wieku Jan Kazimierz Brzeziński, podkomorzy nurski. August II podobnież z upodobaniem mieszkał na Bielanach, polując w zwierzyńcu, jaki tam naówczas istniał, potém darował zakonnikom swój pałac, który na zabudowanie klasztorne był obrócony. I następcy jego, król August III tudzież Stanisław August po wielekroć razy zaszczycali swoją obecnością. Kościół tutejszy jest nie wielki, w formie krzyża, skromny lecz gustowy; w ołtarzach mieści piękny obraz pędzla Smuglewicza i inne włoskiéj szkoły wcale dobrze malowane. Tu złożone jest serce Michała Korybuta i jego matki księżnéj Jeremiaszowéj Wiśniowieckiéj. Na ścianach porozwieszane są portrety królów polskich i ich rodzin, począwszy od Władysława IV, aż do Augusta III przez współczesnych malarzy wykonane. Znajduje się téż kilka nagrobków, pomiędzy którémi najlepszy pod względem sztuki podkomorzego Brzezińskiego. Pomieszkania księży składają się z trzynastu małych domków, na około kościoła będących; dwa pierwsze stawiane były na mieszkania królów Władysława IV i Jana Kazimierza, za których przykładem poszli wielcy panowie ówcześni, a każdy prawie z nich miał w lasku bielańskim osobną swoją pustelnię. Domki te zatém są historyczną, po znakomitych rodzinach pamiątką; dotąd téż nad każdym umieszczony herb snycerską robotą z napisem u dołu, ich pochodzenie wskazuje, wewnątrz zaś rozmaite sprzęty po dawnych mieszkańcach starannie są tutaj przechowane. Na cmentarzu od strony wschodniéj kościoła znajduje się skromny nagrobek podmurowany, a biały kamień ciosowy z napisem: „Stanisław Staszyc, urodzony 1755 r., dnia 20 Stycznia 1826 umarł.“ Tu bowiem ten znakomity mąż i dobroczyńca ludzkości, stosownie do swéj woli pochowany został.

Szarada.

O drugim wiecie, jako o roślinie,
Czwarta i pierwsza wciąż płynie,
Gdy wam kto wszystkie, w trzecim czwartym, trzecie,
Chętnie przyjmiecie.

(Rozwiązanie szarady w Nr. 30: *Stowarzyszenie.*)

Korespondencye Redakcyi.

Panu Romualdowi K. pod Gnieznem: Sprawa jest interesująca. Udaćby się należało z nią do Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Panu L. L. w Bydgoszczy: Wiersze pańskie w Sobótce drukowane nie będą. Manuskryptów nigdy nie zwracamy. — Panu J. W. w Wrocławiu: Prosimy jak najuprzyjmiej o opis szczegółowy Hut szląskich i zajść robotników, które tam w ostatnich czasach miejsce miały. — Panu A. T. w Warszawie: Przesłanie Sobótki pod opaską pocztową naraża odbiorcę na wiele nieprzyjemności i zwłokę. Chybaby więc razem kwartalnie zeszyty mogły być przesyłane. — Panu W. S.: O rysunek prosimy.

Nakład i Redakcya księgarni M. Leitgebra i Sp. — (M. Leitgeber i St. Tułodziecki w Poznaniu.) — Czcionkami W. Deckera i Sp. (E. Röstel).